

ARTUR SZYNDLER

KRYSZTAŁY CZASU

SAGA O KATANIE

TOM I z XIII



LABIRYNT ŚMIERCI

CZĘŚĆ I

WYDAWNICTWO PALADYNAT



ARTUR SZYNDLER

KRYSZTAŁY CZASU

SAGA O KATANIE

TOM I z XIII



LABIRYNT ŚMIERCI

CZEŚĆ I

WYDAWNICTWO PALADYNAT

KRYSZTAŁY CZASU

Rozdział I – Miejsce pierwsze: NARODZINY

– Kat An!!! – najgłośniej jak mogła, syknęła ciężarna orczyca

Kacie! Jeszcze raz spróbujesz mnie podgryzać...! – dodała uderzając wielką niczym bochen chleba pięścią w swój nabrzmiały brzuch.

– Rozumiem, że spałaszowałaś rodzeństwo – sama to zrobiłam w twoim wieku, ale zżerać rodzoną matkę?

Kolejny kuksaniec przyniósł widoczną ulgę, brzuch lekko zmałał i orczątka wewnątrz przestało się poruszać.

Wielka orczyca wyprężyła się i rozejrzała wokół. Potężne mięśnie nabrzmiały, uwidoczniając zielonkawę żyły. Mierzyła nieco powyżej dwóch metrów. Jej oliwkowa skóra była gładka, co świadczyło o młodym wieku i znaczącym statusie. Biodra miała przesłonięte pasem skóry ze zwisającymi dużymi płatami futrzanych fragmentów jakiegoś zwierza, prawdopodobnie bawoła opasa.

Bystre, duże i głęboko osadzone oczy zwróciły się nerwowo w lewo i w prawo. W tym też momencie uwidocznił się ich czerwony blask, który zajaśniał w półmroku jaskini.

„Nic nie przyszło” – pomyślała orkowa samica. Rada, że nic nie wykorzystało jej chwilowej słabości i nieuwagi, odwróciła się. Pod stopami leżał jeszcze ciepły, choć niekompletny zezwłok jej partnera. Wyraźnie brakowało wyjedzonych fragmentów ud i krocza.

– Muszę cię dokończyć, mój mężu, bo inaczej ten bachor mnie zeżre – powiedziała orczyca w kierunku nieżywego partnera.

Była wyjątkowa jak na swą rasę. Wielka, rosła i przebiegła. W swym krótkim dziesięcioletnim życiu pochowała już kilku mężów, choć tylko tego jednego musiała zjeść. I do tego nie dała się zdominować, jak większość jej głępszych rówieśniczek. Ich życie było nieustannym zdobywaniem pokarmu i odchowywaniem kolejnych miotów jak zwykle liczego potomstwa. Jej synek – tego już była prawie pewna – przyjdzie na świat w chwale jej rodu – silniejszy od rówieśników. Zostanie kimś o kim powstaną wieczne legendy. – O tym też była przekonana. I w swej matczynej miłości nawet nie skrzywiła się, gdy kolejny kęs chłopca oderwał coś z jej wnętrza...

Orki z jaskiń Taran-Tas były wyjątkowo silne. Liczebność ich populacji wahała się skokowo od kilkuset samic do kilkudziesięciu tysięcy wojowników. Takie armie dokonywały inwazji na sąsiednie krainy. Problem w tym, że nie za każdym razem wracały. Zdyscyplinowane legiony elfów, krasnoludów czy panujących reptilionów prawie zawsze kładły kres powtarzającym się średnio co dziesięć lat najazdom orków. I tak było od wieków. Przeludnienie w orczych leżach i nieustający głód ich mieszkańców zwykle owocowały kolejną wyprawą łupieżczą.

An – bo tak zwała się orczyca – postanowiła wraz z partnerem i kilkunastoma młodymi parami wyruszyć i założyć nowe leże. W tym celu opuścili umiłowany gwar swych siedlisk i udali się na wielotygodniową niebezpieczną wyprawę w głąb nieznanymi północnych gór. Z początku szło dobrze. Poruszali się o zmroku, a ich partnerzy byli doskonali w nocnych łowach. Zakradali się za głazy, po czym z orczym wrzaskiem dopadali zaskoczone tym antylopy i gołymi rękoma łamali im karki. Dostępność właściwego pożywienia po dwóch tygodniach zaowocowała: wszystkie samice były już ciężarne.

Nic nie zapowiadało kłopotów aż do odkrycia tej przekłetej jaskini. Już pierwszej nocy zamknęła się od zewnątrz. Tam, gdzie powinno być wyjście, była lita skała – jakby spoczywała w tym miejscu od wieków. Żadnych szczelin. Zaś na przeciwległym końcu jaskini nagle pojawiło się przejście. Prowadziło ono do wnętrza jakichś tajemniczych, prastarych katakumb. Patrząc w głąb, wszyscy w grupie czuli dziwny, zabobonny lęk.

Z tego korytarza pochodziła też ich pierwsza zdobycz – rosły na sześć metrów bazyliiszek. Cała grupa walczyła dzielnie. Gad uległ mrowiu łap i pysków. Zginął, rozszarpując zaledwie trzech samców. Oj, mieli wyżerkę. Wykorzystując padlinę, ucztowali przez kilka tygodni, licząc na otworzenie się jaskini. Na szczęście była woda, małe cieki sączące się z niektórych ścian. Największy problem zaczął się, gdy skończyło się truchło. Grupa postanowiła wejść w głąb jaskiń – do labiryntu. An i jej mąż zostali na czatach, gdyby jaskinia otworzyła się. Po tygodniu wiedzieli jednak, że ich towarzysze giną. Z minuty na minutę ich orcza więź słabła, aż w końcu zanikła.

An i jej mąż zrozumieli, że są już sami. U wszystkich orków, w tym i ich szlachetnej podrasy urruków, istniała od zawsze więź. Pozwalała ona na odczuwanie wspólnie emocji, a już szczególnie tych skrajnych. W bitwach przynosiła zaskakujące efekty. Mogła być wielką zaletą, jak i przyczynić się do wielkich szkód. Gdy wódz zagrzewał do walki, orcze hordy niczym jeden mąż odczuwały uniesienie, nieskończoną brawurę i siłę. Nie czuli ran ani nie zwracali uwagi na padających towarzyszy lub wrogów. Co innego, gdy szło źle. Cała armia potrafiła zarazić się przygnębieniem i defetyzmem, a to wywoływało masowy odwrót i chęć ucieczki w samotność. Niejedna orcza armia poszła w rozsypkę i uciekła z pola bitwy, w której miała kilkukrotną przewagę lub zapewnione zwycięstwo. I nic nie potrafiło tego zmienić...

Po dwóch tygodniach samotnego oczekiwania z mężem na zmianę losu, An nie wytrzymała. Gron wiedział, że do tego dojdzie, jednak nie opuścił orczy. Wiedział, że jego ciało na jakiś czas jej i ich potomstwu zapewni życie. Postanowił w związku z tym nie ryzykować utraty go w walce z potworem, który na końcu tych jaskiń pożarł ich grupę.

Nagły cios większej, choć o niebo lżej zbudowanej samicy zaskoczył go, gdy brał ją po raz ostatni. Drugi cios był już tylko formalnością. Wszystko to stało się jednak za późno...

...

Dziecko w brzuchu poruszyło się ponownie. Nagle matka skuliła się z bólu. Jej ciało zwiotczało i powoli, z wielkim hukiem runęło do tyłu na plecy. Dłoń jednej z rąk bezwładnie opadła na dłoń Grona.

W tym momencie skóra na brzuchu pękła i pojawiła się szponiasta zielonkawa rączka. Za moment wynicowała się druga. Chwilę później naprężyły się one i przez otwór wychyliła się główka orczątka. Jej bezwłosa powierzchnia pokryta była krzepnącą posoką w kolorze zieleni zmieszanej z rdzą. Uśmiech zawitał na twarzy dziecka. Po chwili jednak przygasł, gdy jego wzrok napotkał półmartwą już twarz matki.

Dziecko nagle kaszlnęło. Z jego spłaszczonego noska wyleciały dziwne farfocle. Po chwili główka wyprostowała się i z szerokiego, jak u każdego z orków pyszczka wyszły pierwsze sylaby.

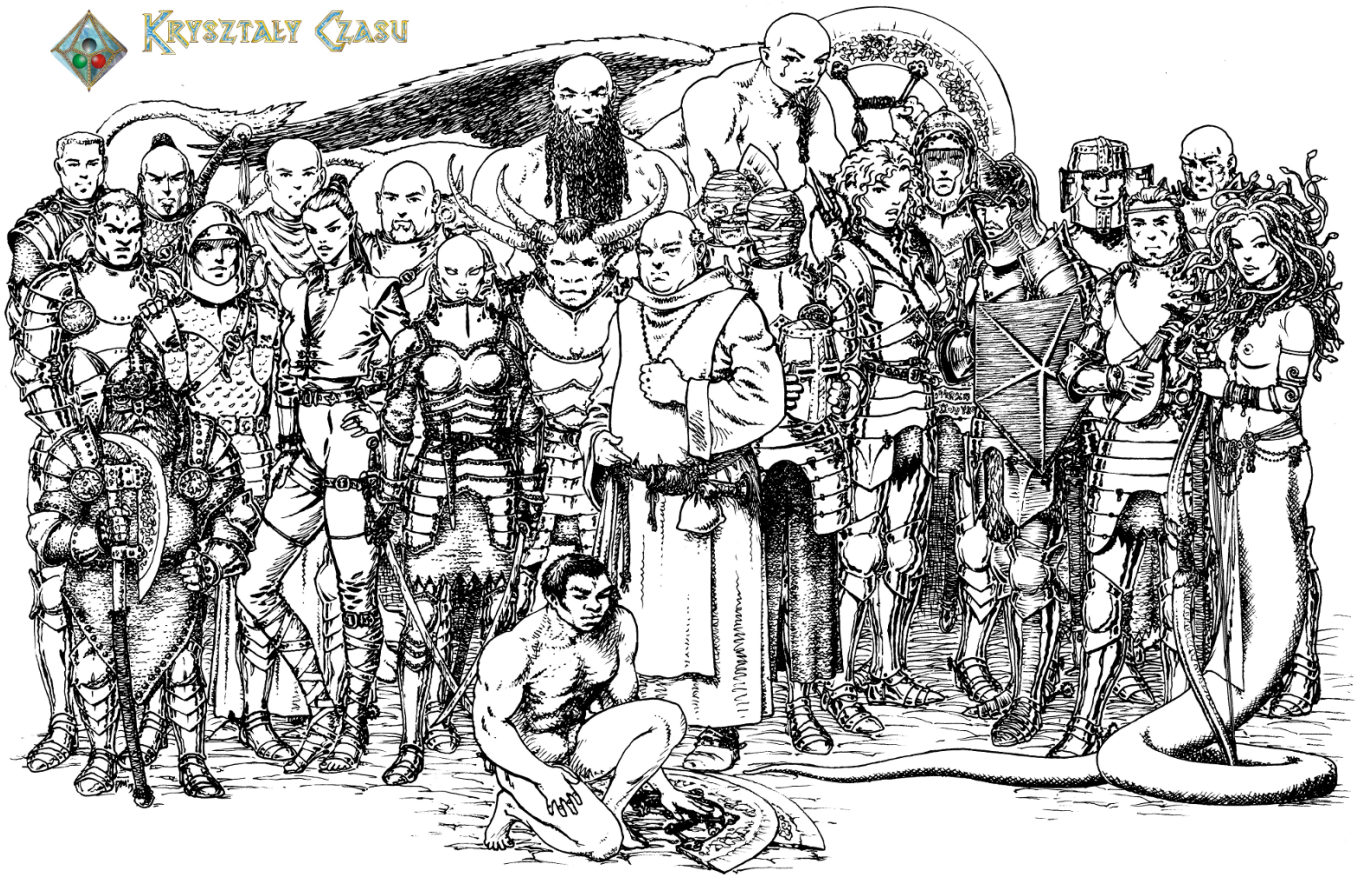
– Kat, an.

Po chwili przemieniły się w jedno słowo: Katan.





KRYSZTALY CZASU



KRYSZTAŁY CZASU

Rozdział III: Miejsce Drugie – KASZTEL

To był niesamowity skok. Wyjątkowo szczupła i wysoka dziewczyna spadała w dół. Długie, czarne włosy niczym promienie wyciągały się ku górze. Smukłe ręce mocno nad głową trzymały ciało jakiegoś mężczyzny. Falujące z pędem fragmenty skąpego ubioru podkreślały urodę nieosiągalną dla ludzkiej dziewczyny.

Lecąc, nie zwracała uwagi, że spada z wysokości trzeciego piętra, bo taki poziom miał wewnętrzny mur zamku, z którego blenek skoczyła. Nawet przez moment podczas lotu nie straciła równowagi i pewnie opadła na nogi. Na tym jednak jej szczęście się skończyło. Lewa stopa dziewczyny niefortunnie nadepnęła na mały kamień i chociaż prawa stopa przejęła impet upadku, to „akrobatce” nie udało się utrzymać w rękach „pakunku”. W momencie lądowania z hukiem opadł na ziemię, wyslizgując się z rąk.

Dziewczyna zaklęła szpetnie w elfim języku i z niezadowoloną miną dodała:

– Jeśli nawet tutaj mi się wyrywasz, rycerzyku, to już cię nie chcę.

Jednak jej wybrańcowi było wszystko jedno. Nie żył, bezwładnie leżąc z przetrąconym o bruk karkiem.

Hałas zwrócił uwagę strażników. Prawie w jednej chwili wychylili się na wewnętrzny dziedziniec i odruchowo wystrzelili z kusz w kierunku źródła dźwięku.

Elfki już tam nie było. Wykorzystując resztki nocy, jej zwinne ciało przeokoziłkowało w kierunku pierwszej osłony. Stanowił ją wielki sześciokołowy wóz bez zaprzęgu, którego żółta płócienna plandeka dawała ochronę chrapiącemu wewnątrz krasnoludowi.

Kiedy następne bełty wbiły się tuż obok, w leżące bezwładnie ciało, Hannah właśnie wślizgiwała się do środka wozu.

Dla obserwujących zdarzenie bogów akcja przyspieszyła. Niewidzialny awatar Asteriusza, choć bardzo wyczerpany podróżą przez ostatnie dziewięć tysięcy lat wstecz, skupił się na krasnoludzie. Jego wzrok bez przeszkód przenikał przez plandekę wozu i z uśmiechem na ustach obserwował, jak chrapiący z otwartymi oczami krasnolud momentalnie zdążył przystawić elfce do szyi ostrze dużego topora. Niespodziewająca się tego Hannah znieruchomiała, nie wiedząc zapewne czy bać się głośno „chrapiącego” krasnoluda czy też wykorzystać to na swój sposób.

Tymczasem stojący obok Gorlam, równie niewidzialny jak Asteriusz, skoncentrował się na nowym obiekcie bardzo powoli materializującym się na dziedzińcu. Dodatkowo inną jaźnią obserwował, jak część strażników schodzi z murów i powoli zbliża się w kierunku wozu. Ich ręce kręciły korbkami napinającymi kuszę. Gdy otoczyli wóz, każdy z nich miał już założony ponownie bełt i wycelowaną broń. Nieznacznie wyróżniający się insygniami dowódcy gwardzistów z przerażeniem obserwował zmiany zachodzące na twarzy swego nieżywego księcia. Nie zwracał uwagi nawet na słowa jednego z podwładnych, który powoli odchylając plandekę z wejścia do wozu, starał się zajrzeć do środka.

Asteriusza zaskoczyła szybkość działania i dziwna nić porozumienia, która momentalnie zmieniła sytuację wewnątrz wozu. Nim jeszcze pierwszy z gwardzistów zajrzał do środka, krasnolud zdążył jednym ruchem przewrócić elfkę pod siebie. Prawdopodobnie za jej intuicyjną zgodą, wpasował się między rozchylone nogi dziewczyny, stwarzając niedwuznaczną sytuację. W chwili, gdy twarz i ostrze bełtu wsunęły się do namiotu, krasnolud z miną maksymalnej pogardy odwrócił głowę do gwardzisty i zaklął:

– Na rumsztyk siekanego smoka i pustą beczkę wina! Nie ma większej dozgonnej urazy, jak przerwanie krasnoludowi tego, co robi najrzadziej! – po czym ryknął: – Wyrywaj stąd, karłowaty pętaku, albo ci czachę w plasterki pokroję!!!

Pechowego gwardzistę tak speszyły słowa Sawa, że nawet nie zauważył, iż przed chwilą krasnolud chrapał, a dodatkowo o dobre pół metra był niższy od niego. Zresztą nie tylko on na to nie zwrócił uwagi. Pozostałych prawie trzydziestu gwardzistów nie zrobiło tego z zupełnie innego powodu.

Ryknięcie Sawa zbiegło się z głośnym plaskiem otwieranego portalu...

Teraz obydwaj bogowie w swej nieskazitelnej niewidzialności przyglądali się temu z nieskrywanym zaciekawieniem. Ich wzrok spoczął na przejściu między planami egzystencji o kształcie szerokiej, pionowo ustawionej elipsy. Jej krawędzie wyglądały jak zielone brzegi wodospadu, którymi przestrzeń z tego świata wpadała do przeźroczystego lustra. Przez nie widać było inne niebo, niespotykaną na Ochrii zieleni oraz... właśnie przechodzących przez portal konnych jeźdźców w czarnych płytowych zbrojach... Z głowami węży zamiast hełmów.

Asteriusz przypomniał sobie wszystko, co potrzebował wiedzieć o serpentach. Zacerpniętą ze swej boskiej studni mądrości wiedzę telepatycznie przekazywał Gorlamowi.

– „Mamy tu do czynienia z serpentami, z rasą charakterystyczną dla Archipelagu Wschodniego tego świata. Tors ludzki, ale głowa i umysł gadzi. Rasa wielce kastowa. Te ostatnie rozróżnia się po głowach kobry, żmii czy innego węża. Wyjątkowo uzdolnieni czarnoksiężnicy i czarni rycerze... Z reguły. Tu raczej ci drudzy. Będziesz miał okazję się wykazać. Ja zajmę się awatarami boga, który stoi za nimi”.

Nim resztki wiedzy przepłynęły telepatycznie między bogami, część serpencich jeźdźców kłusem przeniknęła już przez portal. Podkowy ich koni w jakiś magiczny sposób po przekroczeniu bariery światów pędziły w powietrzu, jakby opierając się na nim. Rycerze, nastawiwszy na sztorc swe krótkie lance, rozjeżdżali się po dziedzińcu. Każdy w kierunku innego gwardzisty i to bez względu na to, czy ten stał na murach, czy na dole.

Gdy ostatni czarnogrzywy rumak z plaskiem przekroczył lustro portalu, w jego wnętrzu pojawił się awatar Seta. W odróżnieniu od ludzkich, odzianych w togi postaci Asteriusza i Gorlama, ten wyglądał jak wielka gigantyczna kobra z rozpostartym kapturem o ciele grubym jak pień dębu. Sprężone do ataku ciało pokrywały duże złote łuski, zachodzące na siebie końcówkami. Nadnaturalność istoty podkreślały dziwne hieroglify lub runy, których krwista czerwień kryła nadprzyrodzone tajemnice. Pionowa postawa kobry, jej bezruch i przenikliwe spojrzenie skierowane na awatarów jednoznacznie wskazywały, że wie o ich obecności. Może nawet wzrok kobry przeniknął ich niewidzialną zasłonę.

Choć portal uniemożliwiał telepatyczny kontakt, Asteriusz przewidział, że wyrok już został wydany. Gdy czarni rycerze zbliżyli się do swych ofiar, nastąpiła likwidacja zaskoczonych i zdezorientowanych brakiem rozkazów gwardzistów. Ci zamiast reagować na napastników z przerażeniem obserwowali swoich kolegów i w ostatniej chwili odkrywali, że giną w ten sam sposób. Na szyi każdego z ponad trzydziestu kilku opancerzonych strażników oraz ponad stu innych aktualnie śpiących wewnątrz twierdzy pojawiła się czarna kobra. Jej dolne sploty natychmiast dusiły szyję. Wznoszący się w pionie od tyłu wąż rozpościerał płaszcz. Chwilę później następował błyskawiczny atak na nieosłoniętą twarz ofiary. Długie jadowe kły przebijały się przez usta, wbijały w gardło i wstrzykiwały jeden z najbardziej perfidnie zabijających jądów. Oczy gwardzistów, zasłonięte kapturem kobry nie były w stanie zauważyć, że ich gardła rozpuszczają się w magicznej czerni. Zresztą zatrzymane trucizną serca i porażone nią umysły nie potrafiły utrzymać w pionie konających ciał. Z niektórych osuwających się na ziemię zwłok odpadała głowa, gdy w szyi, przeżartej magiczną czernią trucizny, zabrakło ciała.

Po tym jak jedna z głów, mocno krwawiąc, chyba przypadkiem powoli podtoczyła się pod nogi Gorlama, nawet on nie wytrzymał.

Nie zdając sobie sprawy, że mógłby tym wywołać wojnę bogów, w kilka sekund skupił się na stworzonej przez siebie do takich celów przemianie. Ulubionej przemianie. Przybrał wizerunek rycerza w złotej zbroi, a potem...

Przed każdym serpencim rycerzem, bez względu na to, na jakiej wysokości aktualnie jego koń stąpał po powietrzu, pojawił się olbrzymi rycerz. Odziany również w złotą, pełną płytową zbroję, dzierżąc srebrny miecz i zasłaniając się pięciokątną tarczą, bezgłośnie przemówił do swej ofiary. W umysłach czarnych rycerzy sformułowała się sekwencja:

„W imię Gorlama Walecznego, osądzam cię sądem bożym za ewidentne zło, które czynem swym sprowadziłeś. Przeżyj ten cios, a będzie ci odpuszczone...”.

Nim przeminęło znaczenie ostatniego słowa, następował cios. Jego siła zwielokrotniała się z każdą mikrosekundą opadania ostrza. Gdy miecz docierał do czarnej zbroi, następował trzask, po czym ostrze przecinało ją jak papier. Nie zatrzymując się na kościach szło dalej. Przebijając się przez pancerz z drugiej strony ciała, wchodziło w kark wierzchowca. Jego też przedzielało na dwie części. Żaden z serpentów nie miał najmniejszych szans na przeżycie. Byli tylko śmiertelnikami, których ciała i pancerze nie mogły oprzeć się boskim mocom.

Przez chwilę wyglądało na to, że każda para jeździec-wierzchowiec rozpada się na cztery części. Jednak tylko połówki rycerzy, tryskając fontannami karmazynowej krwi z metalicznym trzaskiem spadły na wybrukowany dziedziniec. Ich konie w trakcie krótkotrwałej agonii zamieniały się w czarny pył, który szybko rozwiewał się w powietrzu.

Choć tuż po wyroku złoci rycerze rozpływali się w nicłość, to gigantyczna kobra lekko cofnęła się, odsuwając od portalu. Jej buńczuczna poza jakby nieznacznie złagodniała. Być może awatar Seta uświadomił sobie, że ma przed sobą dwóch innych bogów, i to pod postacią ich pierwszych awatarów. A jeden z nich był wyraźnie rozgniewany.

Ostatni błysk oczu kobry i portal zniknął. Przestał istnieć, jakby nigdy tam nic nie było. Wraz z nim jednak zniknął... cały zamek. Jedynie centralna część nadal pokrytego licznymi trupami dziedzińca ostała się na miejscu. Stojącym na środku niewidzialnym awatarom horyzont zasłaniał już tylko kupiecki wóz. Ten sam, w którym schroniła się elfka.

Sawa i Hannah z przerażeniem przyglądali się temu zza nieznacznie uchylonej kotary. Doskonale widzieli wszystko. Moment pojawienia się czarnych rycerzy czy z całkiem bliska okrutną śmierć gwardzisty, który dosłownie przed chwilą zaglądał do nich. Nawet fragment egzekucji nie uszedł ich uwadze. Ale zniknięcie całego zamku?

Oboje szybko domyślili się wielkiej ingerencji czegoś nadprzyrodzonego. Wzrok Sawa powoli i metodycznie badał trupy. Hannah odwrotnie. Jej bystre zielone oczy strzelały spojrzzeniami wokół pobojuwiska. Para w jednej chwili nieoczekiwanie znalazła to, czego szukała.

Asteriusz zrobił krok w kierunku pierwszej ofiary – porwanego księcia. Podobnie jak Gorlam, w postaci pierwszego awatara był ponad dwa razy większy od człowieka. Ten krok wystarczył, by sięgnął ręką martwego ciała.

Młodszy bóg też to zauważył. W miejscu, gdzie stopa Asteriusza oderwała się od ziemi ukazała się fosforyzująca białą pięcioramienna gwiazdka.

– „No to mamy problem” – bezgłośnie zaczął Gorlam. Po chwili dodał:

– „Czy zawsze zostawiasz w miejscu, gdzie dotykasz ziemi białe gwiazdki widoczne dla wszystkich? Nasi pobliscy śmiertelnicy chyba się domyślili, że to ty”.

Nie minął się z prawdą. Przypuszczalnie obszerna wiedza krasnoludzka Sawa lub jego niemała kupiecka intuicja pozwoliły skojarzyć fakty. Jego natychmiastowy odruch padnięcia na twarz, choć nadal znajdował się w wozie, był tego potwierdzeniem. Nawet elfka intuicyjnie zrobiła to samo. Tylko jeden z bogów Ochrii, stąpając po ziemi zostawia białe gwiazdki, świecące jeszcze nawet przez rok. A podobnie modlitwy kapłanów potrafią utrzymać ich jasność w nieskończoność. Zresztą wiele świątyń i ich ołtarzy powstało w takich świętych miejscach, a raczej wokół nich...

– „Nie mógłbyś stąpać w powietrzu, aby nie odciskać tych święcących gwiazdek? Niedługo wszyscy twoi wyznawcy tu ściągną. A za tydzień postawią tu świątynię. Podobnie mieliśmy być incognito?” – spytał Bóg Rycerstwa.

– „Zawsze robię to, co dla mnie charakterystyczne. Ty postępujesz tak samo. Czy swoich pięknych złotych rycerzy przemieniłbyś w kobiety?”

Gorlam wzdrygnął się – przez moment przemknęła mu przez myśl wizja, że czczą go pod postacią kobiety.

– „W porządku, wygrałeś. Jak zawsze. Ale chociaż nie męczmy tych tutaj i przedstawmy się im”.

– „A myślisz, że to przeżyją?” – uśmiechnął się Asteriusz.

Jednocześnie bogowie, zrzucając swą doskonałą niewidzialność, maleli do rozmiarów śmiertelników. Zerkającej spod oka elfce przez moment udało się zobaczyć ich w pełnym majestacie. Uderzyło w nią to jak grom z jasnego nieba. Jej zmysły przeniknęło intensywne, kojące światło, bijące z postaci brodatego, choć łysego starca, który mimo sędziwego wieku zachował ciało kulturysty. Nawet nie zwróciła uwagi na rycerza w złotej zbroi z charakterystycznymi, krótkimi włosami stojącymi niczym wojska w idealnym szyku. Bez skazy.

Serduszko dziewczyny przeszła fala boskiego majestatu. W jednej chwili światopogląd bezwzględnej, lecz na szczęście nie okrutnej zabójczyni zmienił się. Duszę wypełniła kontrastująca z dotychczasową profesją dobroć. Bezgraniczna dobroć. Niezamierzoną mocą aury wielkiego boga jakakolwiek neutralność względem zła czy dobra wyparowała. Niczym u paladyna, jej dotychczasową prawość uzupełniło wykiełkowane właśnie ewidentne dobro.

Gdy obaj bogowie zmienili się w śmiertelników, oczom elfki, a po chrząknięciu Asteriusza także i oczom Sawa, ukazali się dwaj odziani w białe togi wędrowcy.

Jeden z nich, wiekowy starzec o ciele doskonałego atlety, emanował mądrością i dobrocią. Spoglądając dłużej w jego duże błękitne oczy, miało się uczucie lotu w kosmos – ku gwiazdom. Przy braku koncentracji można było się w tym zatracić i odlecieć w podróż bez granic. Twarz ludzkiej postaci boga wyrażała też przekonanie, że wie on, co wydarzy się za moment.

Postać młodszego emanowała niezłomnością. Ruchy miał stanowcze, choć sprężyste. Ułożenie jego togi było też iście wojskowe. Przypominała bardziej mundur wyjęty właśnie na paradę niż luźno założoną szatę sąsiada. Młoda twarz emanowała optymizmem i ciepłym uśmiechem.

Wprowadzenie zaczął właśnie on:

– „Jestem Gorlam, a to mój przyjaciel Asteriusz Wielki. Jesteśmy, jak już zauważyliście, pod postacią naszych pierwszych awatarów. W tym świecie istnieje coś lub ktoś, co ma dla nas wyjątkowe znaczenie”.

Przerwę w monologu wykorzystał Asteriusz:

– „Wiem, że nic nie wiecie, co mogłoby nam pomóc, ale wiem też, że zbliżycie się do tego. Z tego powodu będziemy wam towarzyszyć przez pewien czas. Jakies pytania?”

Krasnoludzka odporność, a może kupiecki trening pozwolił przełamać onieśmienie Sawowi.

– ... Czy... czy chodzi o Kryształ Czasu?

– „Nie mieliśmy tego na myśli” – szybko wtrącił Gorlam. – „Nie pojawiliśmy się na tej planecie, by szukać Kryształu Czasu. O utrzymanie jego musielibyśmy walczyć do końca świata z nieskończonymi legionami demonów lub diabłów, z całymi panteonami bogów i to graniczną moc Kryształu Czasu, ale nawet dla Boga Wojen, Bitew czy Chwalebnych czynów jest to po stokroć za dużo”.

– Ale..., ale to nie do pojęcia. Każda istota pożąda tego. Moc, którą daje, pozwala być silniejszym od boga. A w rękach potężnego bóstwa daje to... władzę niewyobrażalną – prawie wykrzykując z pożądania szybko wysłowił się krasnolud.

– „Przybyliśmy tu w sprawie, z powodu której Ochria może być starta z tego świata i wyczyszczona z wszelkich form egzystencji. Z powodu której nieskończona liczba bogów zastanawia się nad czymś, co nigdy by im nie przyszło do głowy. Nad niechybną, nieodwołalną i nieodległą w czasie zagładą. Zagładą, z którą wiąże się unicestwienie ich planów, światów, form egzystencji wraz z nieskończoną ilością istnień i ich dusz. Taki mały niebiański horror”.

Po krótkiej chwili ciszy, jak zwykle telepatycznie przekazując słowa obecnym, dodał:

– „Kryształ Czasu mógłby pozwolić podbić kilka światów egzystencji lub nawet wyludnić z diabłów piekło. Ale może on nie dać wystarczającej mocy, by ocalić wszystkich bogów przed zagrożeniem, które właśnie zaistniało...” – Zmieniając wyraz twarzy na bardziej radosny dodał: – „Zajmijmy się jednak czymś miłszym i przywróćmy do życia leżącego tu pechowca. Zobaczycie, że będzie to ciekawe doświadczenie”.

Sędziwa ręka Asteriusza powoli powędrowała w kierunku zwłok władcy nieistniejącego już zamku. Z rozpostartej dłoni na odległości pół metra rozeszła się poświata w kształcie niebiańskiej białej gwiazdy. Powiększając się, otoczyła ona skręcone ciało. Następnie z głośnym melodyjnym plaśnięciem

wchłonęła się w nie, z lekkim chrzęstem prostując członki i kark. W miejscu, gdzie zamiast twarzy znajdowała się ciemna pustka, zeszła ciemność i pojawiły się oznaki życia.

– Wstań, tan Adalbercie. Odebrane jest ci przywrócone – z powagą pierwszy raz na głos powiedział Asteriusz.

Na ten dźwięk elfka zrobiła lekki krok w tył, a na jej ślicznej buźce pojawił się szczerzy rumieniec wstydu. Szeroko otwartymi oczyma spojrzała z lękiem w kierunku bogów.

Jakby za magiczną mocą słów księżę, z początku niepewnie opierając się o ziemię, wstał. Na koniec wyprostował lekko głowę i rozejrzał się wkoło. Gdy jego myśli pojęły to, co wzrok spostrzegł, nastąpiła drastyczna zmiana na twarzy mężczyzny. Z wyniosłej pozy zniknęło dostojeństwo zastąpione rozpaczą. Oczy wędrowały od jednego do drugiego ciała gwardzistów, z każdym spojrzeniem potęgując przerażenie i coś jeszcze. Podnosząc dość piskliwy głos, zaczął krzyczeć:

– Tom, Edar, Maran, Wyrm, Larin... i wy wszyscy moi gwardziści, którzy tu leżycie – zawiodłem waaas. Mooojaaaa wina, żeście tu padli. Mój układ z kapłanami Seta was zabił. Wybaczcie...

Nim skończył, równocześnie w tym samym momencie wydarzyły się dwie rzeczy.

Z zamkniętymi z rozpacz oczyma szybkim ruchem księżę wyrwał niewidoczny pod ubraniem zakrzywiony sztylet i błyskawicznie wbił sobie go po rękojęć w serce.

W tych samych chwilach jego zamek pojawił się z powrotem na miejscu. A poza wzburzeniem drobnego pyłu sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie zniknął.

Gdy pechowy księżę, konając upadał na bruk dziedzińca, zdążył tylko dostrzec, że jego zamek ponownie zaczyna powoli znikać. Ostatecznie też przestał istnieć w tym miejscu i czasie, gdy trzy sekundy później dusza księcia Adalberta pękła.

– Onnnnn jesssst mmmmmóój. – Zza pleców bogów rozszedł się sykliwy dźwięk.

– Illlle razzzzzy zzzzamierzacie go wssssskrzesać?

– A może z pięćdziesiąt... – z humorem wtrącił Gorlam.

– A może przez wieczność... – dodał Asteriusz.

– Mmmmmiał zzzzze mmnną uuuuukład – wysyczał awatar Seta.

– A tak w ogóle, to witaj, nasz nowy gospodarzu – zaczął Asteriusz. – Tak, przyznaję ci rację, że miałeś ciekawy układ, choć jak zwykle bezwzględnie go wykorzystasteś. Pechowiec nie wiedział, że przypadkowe zejście z tego świata wypełni umowę. Musiał być bardzo głupi albo ty masz wspaniałych kapłanów, że zgodził się na władzę i bogactwo za taki układ, w którym wszystko traci na twoją rzecz w momencie swojej śmierci.

– A więc już go nie wskrzesimy? – spytał Gorlam.

– Nie znoszę samobójców tak jak ty i tracą oni całą moją łaskę w momencie, gdy zaczynają myśleć o tym, a poza tym, jak wiesz, ich dusze w większości trafiają w ręce demonów, gdzie nie zaznają spokoju, dopóki nie pękną.

– Ja teżzzzzz garrrrrdzę nimmmmmi. Ssssspotkamę się nnnnniebawemmmmm.

Chwilę później bogowie odczuli, że niewidzialny awatar Seta zdematerializował się i przeniósł do swych ulubionych otchłani.

Przejęci tym, co słyszeli, Saw i Hannah pytająco spojrzeli na awatarów.

Jak zwykle z humorem Gorlam rzekł:

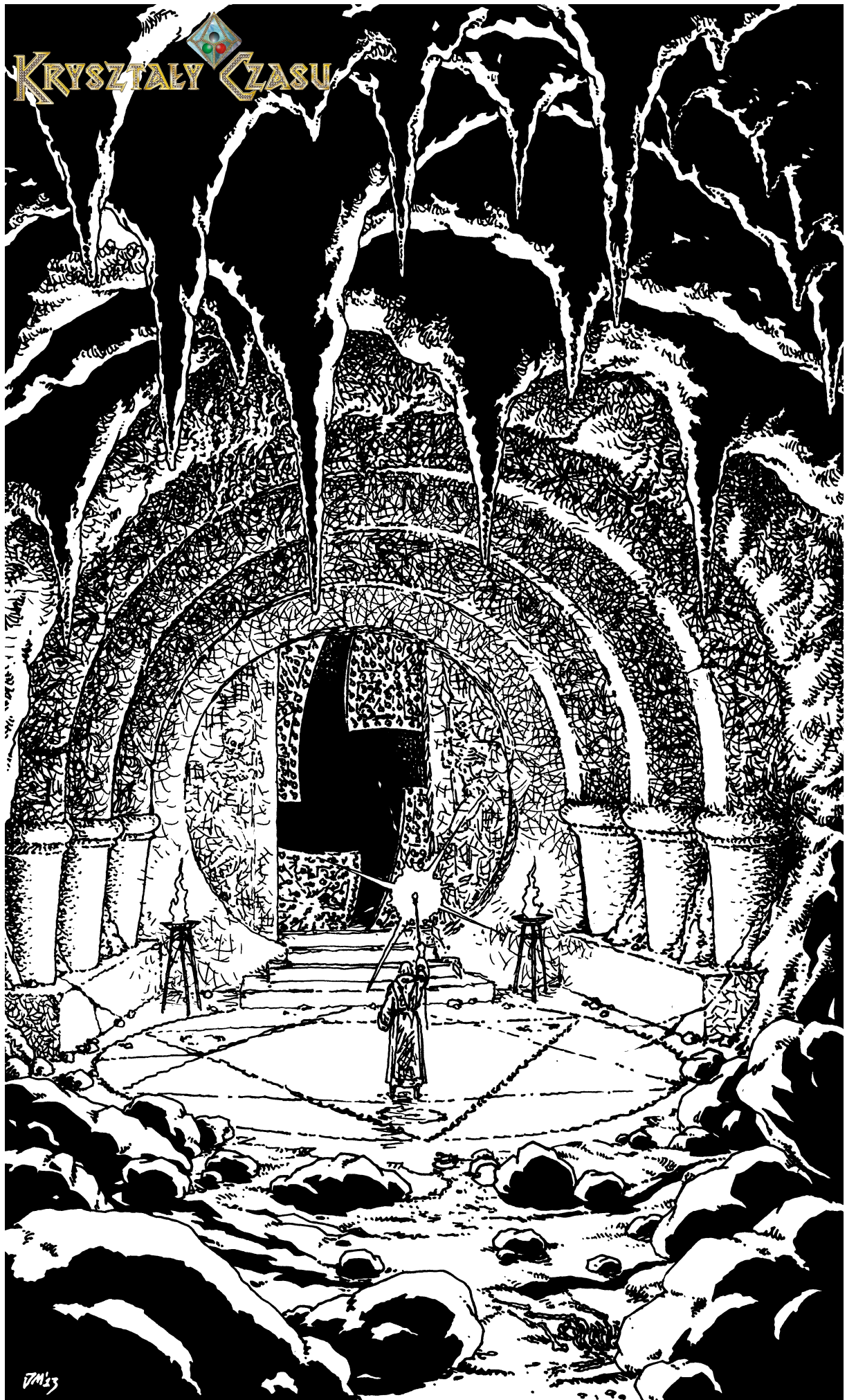
– Dziś my idziemy za wami. Niech śmiertelni prowadzą bogów.

Z równym humorem odpowiedział Saw:

– O, żebyście tylko nie skończyli w krasnoludzkiej karczmie pod stołem...



KRYSZTALY CZASU



7/153

KRYSZTAŁY CZASU

Rozdział IV – Miejsce trzecie: KRAĞ DRUIDÓW

Wokół szalała burza. Serie błyskawic w jednej chwili ukazywały się na tle niższych szczytów otaczających miasteczko. Dalekie, niebotycznie wyniosłe góry pojawiały się, gdy niebo rozświecłały najpotężniejsze z błyskawic. Płonące gdzieś na niskich zboczach drzewa lub fragmenty lasu znamionowały coś nienaturalnego. Wewnątrz kotliny nie spadła jeszcze żadna kropla.

– Zapomniałem, zapomniałem, zapomniałem – rozlegał się rozpaczliwy wrzask biegnącego przez wymarłe miasteczko kapłana. Brązowe jednolite szaty i niewidoczny dla oka symbol boga trzymany mocno lewą dłonią uniemożliwiały jakąkolwiek identyfikację jego religii.

– Zapomniałem, zapomniałem – krzychał kapłan biegnąc głównymi uliczkami w kierunku obrzeży miasta i zalesionych zboczy. Jego obłeńnie tłuste ciało, podskakujący brzuch i kołyszący się na boki drugi podbródek utrudniały bieg. W jakiś niewyjaśniony sposób wkładał on wszystkie swoje siły zarówno w szybkość biegu, jak i w moc głosu. Wielkie i częste krople potu spływające z łysej czaszki zalewały usta, gdy kolejne razy krzychał zapomniałem. Jego szaleńczego biegu i nieustającego zapomnienia nie spowalniały ostre krzewy porastające zbocza gór ani gęsty las, do którego wbiegł. Potężne cielsko spoconego tłuściocha niczym gład taranowało zarośla i mniejsze drzewka.

Po kilkunastu minutach przedzierania się w karkołomnym biegu przez gęsty las, spanikowany kapłan znalazł się na skraju przepięknego gaju. Nie był to jego cel. Prawdopodobnie w swym szaleństwie biegłby dalej w siną dal i wołał swoje zapomniałem, zapomniałem, gdyby nie grupa stojących w kręgu na drodze dwudziestu brodatych starców w białych i zielonych szatach. Nie stali oni tu bezcelowo. Każdy z nich z rękoma założonymi na piersi wyjątkowo uważnie obserwował kilkudziesięciu zbrojnych, zgromadzonych po drugiej stronie polany. Ci z kolei z równie dużą uwagą przyglądali się szermierczym popisom jednego z ich grona. On zaś, skupiony, w pięknym stylu demonstrował kunsztownie ornamentowanym mieczem serię zamaszystych cięć.

Nim doszło do staranowania druidów przez pędzącego klechę, jeden z nich gwałtownie odwrócił się. W jednym ręku trzymał wielką, sękatą, białą laskę, ale drugą dłonią schwycił kapłana za szaty na piersi. Czy to z powodu prędkości, czy zadziwiającej siły starca, podniósł on biegnącego do góry. Ten odruchowo w powietrzu nadal przebiegał nogami, jakby wciąż pędził.

Z ust zrozpaczonego i zapłakanego kapłana po raz ostatni wydobył się krzyk:

– Zapomniałem, zapomniałem Cię...

Wyjątkowa siła tego głosu zagłuszyła wszystko i przeszła niczym potężny grzmot przez gaj. To ona właśnie zrobiła coś, co śmiertelnie przeraziło druidów i zmroziło krew w żyłach zbrojnych, którzy obserwowali ćwiczącego rycerza. On zaś, wybity z koncentracji, nie utrzymał w ręku swego oręża. Jego pokryty magicznymi runami miecz wysliznął się z dłoni podczas kolejnego zamachu. Kontynuując niedokończony cios, poszybował długim łukiem akurat w kierunku środka gaju. Opadając na ziemię, przeciął na pół małą sadzonkę drzewka. Drzewka, z którego miało wyrosnąć najświętsze dla druidów Pradrzewo. Drzewka, które jako Drzewo Równowagi przez następne tysiące lat miało chronić Archipelag Centralny.

Burza minęła jak nożem uciął, a na planecie Ochrii właśnie została zachwiana równowaga... i to najpoważniej, jak to tylko możliwe.





KRYSZTAŁY CZASU



Handwritten signature or mark.

KRYSZTAŁY CZASU

Rozdział V – Miejsce trzecie: KONSEKWENCJE

– Młody tan Arkadianie, przygotuj swoich i stańcie do bitwy. – Ostre słowa przywódcy druidów wyrwały pechowego rycerza z odrętwienia.

Feralny rycerz, z początku wolnym i ostrożnym krokiem zaczął zbliżać się do miecza. Gdy go podniósł pozostałych dziesiętnastu rycerzy bezwiednie wyciągnęło swoje ostrza z pochew. Chwilę potem wszyscy z nich zakładali bądź poprawiali wielkie rycerskie tarcze na lewym ramieniu. Dźwięk ocierającego się metalu stanowczo nie pasował teraz do otaczającej gaj ciszy.

Druidzi też nie próżnowali. Młodszy z nich, choć równie brodaci i odziani, okręgiem otoczyli swych przywódców. Sękaty kostury schwycili oburącz, kierując ich końce w stronę grupy rycerzy. Bezgłośnie hasła w krótkim czasie uaktywniały zaklęcia w magicznych drzewcach. Powoli każdy kostur zaczynał świecić zielonym lub żółtym światłem. Tylko artefakt głównego hierofanty, stojącego wewnątrz kręgu rozjaśnił się na karmazynowo.

Gruby kapłan, opuszczony właśnie na ziemię, z paniką zaczął zerkać na obydwie grupy. Tworzący krąg druidzi i dopasowujący jeszcze tylko hełmy rycerze jakby na coś czekali. Prerażona twarz kapłana, który zapomniał imienia swego boga, zaczęła się dodatkowo mocniej pocić. Małe, lekko skośne oczka ledwo widoczne pośród fałd tłuszczu jakby rozszerzyły się.

– Na miłość do mojego zapomnianego boga! Chyba się nawzajem nie pozarzyniecie? – zdążył powiedzieć.

W tym samym momencie jeszcze przed chwilą czyste popołudniowe niebo nad głowami rycerzy rozwarło się z ogromnym hukiem. Kapłan zauważył, że usta każdego z druidów od pewnego czasu poruszały się. Zaskoczeni i chyba ogłuszeni rycerze zdążyli tylko spojrzeć w górę. Odruchowo przyklękając, jednocześnie szybkim ruchem unieśli ciężkie tarcze nad głowy, zasłaniając się nimi.

Następnym wydarzeniom towarzyszył rozdzierający zmysły huk. Jego wibracje przez moment wprawiły w drżenie zbrojnych. Nad ich głowami rozwarła się pionowo przestrzeń. Z otwartych wrót wylało się piekło i to niemal dosłownie.

Powstałe na prawie kilkanaście metrów przejście między wymiarami ukazało obcy pustynno-skałny świat. Wzbudzające trwogę, czerwono-czarne niebo, podkreślało cienisty krajobraz żółtawego pustkowia. Z pęknięcia w przestrzeni wyskakiwały demony. Dwumetrowe, wielorękie humanoidy na zakończonych szponami nogach za wszelką cenę starały się przepchnąć do otwartego portalu. Ich czerwone, wyglądające na oślizgłe ciała, pokryte kostropatą skórą ocierały się w tłoku o siebie. Różnej długości ramiona zakończone długimi szponami lub dzierżące krótkie trójzęby o spżowym kolorze unosiły się do góry, nie znajdując miejsca między stłoczonymi ciałami. Tylko łyse głowy, których wykrzywione twarze coś wrzeszczały, przypominały cokolwiek z człowieka. Aż po horyzont widać było morze nadciągających żołnierzy demonicznego legionu.

Już w chwili otwarcia szczeliny między światami kilkanaście demonów wypadło, spadając na tarcze zasłaniających się rycerzy. Wypadłoby ich dużo więcej, gdyby nie ogromny demon próbujący przepchnąć się przez trochę za małe dla niego przejście. Mimo że był kilkakrotnie większy od swoich pobratymców, to sama jego szerokość dwunastu ramion prawie całkowicie wypełniała przestrzeń wrót.

Z twarzy kapłana odpłynęła krew. W jednej chwili z pulchnego lica zniknęły kolory, poza bielą. Spowijające ciało prerażenie nie zatrzymywało tylko ruchu rozbieganych oczu, które nadszyczej szybko zerkały na przemian w trzy miejsca.

Obserwując druidów kapłan zauważył, że został nadany sygnał do zamknięcia wrót, gdy tylko Arcydemon wydosłanie się z przejścia. Potem krótkie spojrzenie w górę potwierdziło jego przypuszczenie, ponieważ wielkiemu demonowi brakowało już tylko kilku sekund, by się uwolnić. Za to całkowicie zaskoczyła go sytuacja w trzecim miejscu, wśród rycerzy. Spadające z góry demony próbowały ustać na tarczach, ramionach lub hełmach zbrojnych. Ale jakaś siła odpychając je, nie pozwalała im na to. Wyraźnie było widać, że ich szpony muszą przebić nie tylko zbroje, ale i dziwne niewidzialne aury, w które musieli być spowici rycerze.

Widok ten uspokoił i wzmocnił serce kapłana. Z jeszcze odrętwiałych ust wymknęło się:

– A niech to – paladyni!

Działania wymienionych potwierdziły osąd kleryka. Zamaszyste cięcia z łatwością przecinały na pół lub w poprzek balansujące i ledwo utrzymujące równowagę mniejsze demony. Dodatkowo, żaden z nich nie wykazywał paraliżującego odrętwienia, które spowiło kapłana i z pewnością większość druidów. Walka z pierwszą falą demonów zdążyła się skończyć nim zaczęła się na dobre. Większość paladynów była już tylko zabrudzona kilkunastoma pustymi powłokami ciała, które pozostały po martwych wrogach. Kapłan przypomniał sobie, że demony praktycznie umrzeć mogą tylko w swych rodzimych światach. Dodatkowo brak powłoki cielesnej na wiele lat kompletnie deklasuje każdego z nich w ich dziwnej hierarchii.

Arcydemon Amonhar – Pan i Władca legendarnego 667 Legionu – zdążył się wydostać. Jego żółte ślepia szybko oceniły sytuację. Usatysfakcjonowany przeniknięciem do tego świata, pozwolił sobie na skok w miejsce, gdzie jeszcze niedawno znajdowało się przeklęte drzewko. Stabilizowało ono ten plan egzystencji, uniemożliwiając przedostanie się nań jemu podobnym. Teraz gdy wrota się otworzy musiał tylko odpowiednio szybko zapobiec ich zamknięciu. Milionowej hordzie wystarczyłoby zaledwie kilkanaście minut, by przelać się do Ochrii i rozpocząć inwazję na skalę całego globu. Jednak nagle coś go zablokowało.

Tan Arkadian ciął raz po raz. Dziwna moc wypełniała jego ramię. Zdawał sobie sprawę, że gigantyczny demon nie zauważył go. Prawdopodobnie w swej pysze przeoczył pojedynczego wojownika, skupiając się na reszcie paladynów lub druidach. Młodzian wiedział, że ma tylko chwilę, nim demon go zabije. Musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, by póki była szansa, maksymalnie naprawić swój błąd sprzed minuty. Przecież wszystko to wydarzyło się przez niego...

Kapłan zaczął inkantację. Nie pamiętał nawet jej nazwy. Kierowała nim zwykła intuicja. Był nieświadomy, że ogromna moc wypływa z jego zamkniętego w dłoni amuletu-symbolu. Zdawał sobie jednak sprawę, że musi to robić. Nie miał wyboru. Bezwiednie i czysto jego usta wypowiedziały potężne zaklęcie, kierując je ku pechowemu paladynowi. Gdy skończył, było już po wszystkim.

Tan Arkadian nie wierzył swoim oczom i czynom. Spotęgowane jakby dziwną, dodatkową mocą ciosy przechodziły przez arcydemona jak przez masło. Fakt, że zadał ich sporo, ale efekt był wprost niewiarygodny. Pan legionu właśnie padł martwy. Z jego ciała powoli pozostawała jedynie cieniutka skórna powłoka. Coś paladynowi musiało pomóc, gdyż nawet jego Święty Miecz Ewidentnego Dobra nie miał takiej mocy, by zabić tak wielkiego i potężnego demona. I to mniej niż dwudziestoma ciosami. Odruchowo zerknął na prawo. Jego koledzy i ich mistrzowie właśnie dobijali ostatnie mniejsze sługusy, które wydostały się po arcydemonie. Sama dziura między światami właśnie zasklepiła się. Stojący z lewej strony druidzi wyraźnie byli tym pochłonięci. A z tyłu?

Młody paladyn odwrócił się. Dość blisko niego stał gruby klecha. To ten właśnie, co swym donośnym i przejmującym zapomniałem wytrącił go z równowagi.

Lewa ręka, kurczowo ściskająca symbol, powoli, lekko rozluźniała się. Sama twarz kapłana zaczynała też odzyskiwać rumieńce.

– Pomogłem?! – spytał kleryk.

– ...

– Nie wiedziałem, co czynię, ale czy to coś pomogło? – powtórzył.

Zaskoczony tan Arkadian po chwili odpowiedział:

– Nie wiem, jak to zrobiłeś czcigodny kapłanie, ale na stos złamanych kopii, pomogłeś wyśmienicie. Jako paladyn znam się trochę na magii kapłańskiej, ale takiego zaklęcia jeszcze nie spotkałem. Pewnie i mój mistrz miałby problemy z jego identyfikacją. Najważniejsze, że było skuteczne. A i wybacz, że się nie przedstawiłem. Zapraszam do naszego grona – zaraz to nadrobimy.

– Na las połamanych drzew, zaczekajcie! – basowy i wyjątkowo mocny głos przywódcy druidów rozległ się z lewej strony.

– Nim zaczniecie marnować czas na czcze konwenanse, muszę wam powiedzieć, że go nie macie. No chyba, że jeszcze raz zamierzacie walczyć z kolejnym legionem demonów.

Wypowiedziane głośno słowa zwróciły uwagę wszystkich na polanie. Zaciekawieni druidzi i podekscytowani rycerze dość szybko dołączyli do stojących po środku.

Chwilę później ponownie odezwał się arcydruid.



KRYSZTAŁY CZASU

Autor: Artur Szyndler

Redakcja: Hanna Szyndler

Korekta: Hanna Opala

Przygotowanie pliku PDF: Legimi sp. z o.o.

